

Dlaczego negocjacje izraelsko-palestyńskie nie mają sensu?

10 lipca 2014

To już tradycja – kolejna seria negocjacji izraelsko-palestyńskich zakończyła się niczym. Wysłannicy prezydenta Obamy prześcigają się w wyrazach zaskoczenia uporem premiera Benjamina Netanjahu, ale nie słychać aby miało to wpłynąć na zmianę poparcia Waszyngtonu dla Tel Awiwu. Natomiast amerykańskie zastrzeżenia wobec włączenia Hamasu do słabego rządu Autonomii Palestyńskiej tylko potwierdzają, że stron tego nierównego konfliktu nie traktuje się równorzędnie.

“Negocjacje miały się rozpocząć decyzją o zamrożeniu rozbudowy osiedli. Jednak pomyśleliśmy, że nie zdołamy jej wymóc przy takim składzie izraelskiego rządu, zatem odstąpiliśmy od nich”. Zapytany przez znanego dziennikarza Nahuma Barneę z izraelskiego dziennika Yediot Aharonot, szukającego wyjaśniania przyczyn porażki izraelsko-palestyńskich negocjacji[1], amerykański wysoki urzędnik, który chciał zachować anonimowość, ciągnął dalej: “Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że [premier Benjamin] Netanjahu używa przetargów na budowy na terenie osiedli, by zapewnić przetrwanie swojemu własnemu rządowi. Nie zdawaliśmy sobie sprawy również z tego, że kontynuacja tej rozbudowy pozwoli ministrom sabotować powodzenie tych negocjacji. (...) Dopiero teraz, po klęsce rokowań dowiedzieliśmy się, że ta budowa (14 tys. mieszkań) oznaczała wyłączenia na szeroką skalę”.

Na pytanie “czy był pan zaskoczony, gdy odkrył pan, że Izraelczycy tak naprawdę nie dbają o to, co się stanie podczas negocjacji?” wysoki urzędnik administracji Obamy odpowiedział, że “tak, byliśmy zaskoczeni. Gdy wasz minister obrony Mosze Jalon oświadczył, że jedyną rzeczą, którą chce osiągnąć

[amerykański sekretarz stanu] John Kerry jest pokojowa Nagroda Nobla, poczuliśmy się obrażeni, bo przecież wszystko, co robiliśmy, robiliśmy dla was”.

CZEGO NIE WIEDZIAŁ JOHN KERRY?

Choć informatorzy Barnei pozostali anonimowi, wiadomo, że miał on dostęp do wszystkich zaangażowanych w sprawę amerykańskich oficjeli, w tym także do Martina Indyka, któremu Barack Obama powierzył nadzorowanie izraelsko-palestyńskich negocjacji. Koronny argument Amerykanów da się zamknąć w dwóch słowach: “Nie wiedzieliśmy”. Nie wiedzieliśmy, co oznacza kolonizacja, nie wiedzieliśmy, że rząd izraelski nie jest zainteresowany negocjacjami.

Czy ta wersja jest wiarygodna? Stany Zjednoczone, główny sojusznik Izraela, zaangażowany w “proces pokojowy” od czterech dekad, “nie wiedziały”? Jak można uwierzyć, że nie wiedział sekretarz stanu John Kerry, który dziesiątki razy przemierzył oceany, spędził setki godzin na pertraktacjach, rozmowach telefonicznych i wideokonferencjach oraz odbywał liczne spotkania z większością liderów regionu, poświęcając tym kwestiom więcej czasu niż wszelkim innym kwestiom międzynarodowym? Jak mamy uwierzyć w to, że włożył tyle energii w rozwiązanie tego konfliktu, by “dopiero teraz przekonać się”, że Izraelczycy nie są zainteresowani negocjacjami? Wszakże minęło już ponad 10 lat od momentu, gdy “proces z Oslo” zamarł całkowicie i został zepchnięty w niepamięć przez żydowskich osadników. Od 1993 r. na Zachodnim Brzegu i we Wschodniej Jerozolimie zamieszkało ponad 350 tys. nowych osadników. Czyżby Waszyngton przez cały ten czas nie rozumiał, co się dzieje?

O czym więc myślał John Kerry? Skąd taka wytrwałość w dążeniu do porażki? Czy naprawdę “nie wiedział”? W rzeczywistości John Kerry, podobnie jak prezydent Obama i wszyscy jego poprzednicy, przyswoili sobie wizję Tel Awiwu na tyle głęboko, że przestali dostrzegać rzeczywistość i nie są w stanie

zrozumieć palestyńskiego punktu widzenia. Szef palestyńskich negocjatorów Saib Urajkat rzucił Izraelczykom: "Nie widzicie nas, jesteśmy dla was niewidzialni". Ta uwaga da się równie dobrze zastosować do Stanów Zjednoczonych[2].

Stosują one, podobnie jak Izraelczycy, starą zasadę: "To, co należy do mnie, jest moje, to, co należy do ciebie – podlega negocjacjom". Ziemie zajęte w 1967 r. są "terytoriami spornymi", a wszystkie prawa Palestyńczyków, czy to Wschodnia Jerozolima, czy nielegalne żydowskie kolonie, bezpieczeństwo, uchodźcy, woda itp. podlegają negocjacjom. Na jakiekolwiek ustępstwa mogą iść jedynie okupowani, nie zaś okupujący. Jeżeli Izrael zgodzi się łaskawie odstąpić Palestyńczykom 40% terenów Zachodniego Brzegu, może ogłosić, że stanowi to bolesne ustępstwo, które niesie za sobą zagrożenie dla jego bezpieczeństwa, podważa prawo "narodu żydowskiego" do Erec Izrael (ziemi Izraela) itd.

Taka postawa pozwala rządowi izraelskiemu na podkreślanie przeszkód i domaganie się kolejnych ustępstw, z których żadne nie będzie wystarczające. Jeżeli Palestyńczycy uznali Państwo Izrael – Palestyńczycy nie doczekali się dotychczas podobnego uznania – to teraz trzeba, żeby uznali jego żydowski charakter, co nigdy nie było wymagane ani od Egiptu, ani od Jordanii[3], ani od samych Palestyńczyków za czasów pierwszego mandatu Benjamina Netanjahu (1996-1999).

Jednakże tym razem ten arogancki upór wzbudził – i to kilkakrotnie – gniew nawet w amerykańskich przywódcach. Niektórzy z nich, w tym również Barack Obama, przypominali fakt, że nie istnieje inne rozwiązanie niż dwa państwa, chyba że jedno państwo obejmujące historyczne terytorium Palestyny. Sam John Kerry ostrzegał przed systemem "apartheidu", nawet jeśli szybko się z tego wycofał[4].

CHCEMY WSZYSTKIEGO I PO WSZE CZASY

Początkowo Waszyngton wyrażał zadowolenie z przebiegu

negocjacji. Rozmowy, rozpoczęte w lipcu 2013 r., miały potrwać 9 miesięcy, a Autonomia zgodziła się na szereg ustępstw, jak demilitaryzacja przyszłego państwa palestyńskiego, obecność w regionie Jordanu izraelskiego wojska, które po 5 latach miałoby zostać zastąpione siłami amerykańskimi, przejście kolonii w Jerozolimie pod władzę Izraela, wymianę terytorialną, która pozwoliłaby 80% osadników z Zachodniego Brzegu znaleźć się w granicach Państwa Izrael. Wreszcie powrót uchodźców miałby być uzależniony od zgody Izraela[5]. Żaden inny przywódca palestyński nie poszedł na tak daleko idące ustępstwa jak Mahmud Abbas i jest mało prawdopodobne, że jakkolwiek jego następca będzie w stanie je zaakceptować.

Na wszystkie te zdobycze (albo – w zależności od punktu widzenia – rezygnacje) Izrael odpowiedział kategorycznym "Nie!". Jak relacjonuje jeden z informatorów Nahuma Barnei: "Izrael podkreślił swoją potrzebę zapewnienia bezpieczeństwa na Zachodnim Brzegu. Zażądał kontroli nad całością terytoriów (Amerykanie, wbrew rezolucji 242 Rady Bezpieczeństwa ONZ z listopada 1967 r. nie używają terminu "okupowane"). To oznaczałoby dla Palestyńczyków (...), że Izrael już na zawsze zachowa kontrolę nad Zachodnim Brzegiem". A przecież współpraca między Izraelem a Autonomią Palestyńską w dziedzinie bezpieczeństwa jeszcze nigdy nie układała się tak dobrze, a bezpieczeństwo Izraelczyków nie było tak zagwarantowane – zresztą kosztem Palestyńczyków, odciętych od świata przez poszatkovanie ich terytorium, upokarzanych nieustającymi kontrolami i branymi na cel na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Jak donosi organizacja praw człowieka B'tselem, w 2013 r. zabitych zostało 36 Palestyńczyków.

Na kilka tygodni przed upływem terminu – 29 kwietnia – stało się jasne, że Netanjahu chciał jedynie zyskać na czasie. Najpierw wycofał się ze swej obietnicy zwolnienia czwartej grupy palestyńskich więźniów zatrzymanych jeszcze przed 1993 r. Autonomia odpowiedziała ratyfikacją kilku międzynarodowych traktatów – a zwłaszcza konwencji genewskich, regulujących

obowiązki mocarstw okupujących, których zasady izraelski rząd beztrąsko narusza od 1967 r. Jednak nadal powstrzymuje się przed ratyfikowaniem konwencji Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK), która pozwoliłaby na postawienie izraelskich przywódców przed sądem za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. W rozumieniu MTK zakładanie kolonii na terytorium okupowanym stanowi zbrodnię wojenną.

Podczas gdy izraelskie władze z determinacją domagają się kontroli nad Zachodnim Brzegiem "na zawsze i po wsze czasy" (Biblia, Księga Daniela, 7-18), prezydent Mahmud Abbas, gorąco krytykowany w szeregach Fatahu i mający nikłe poparcie wśród własnego społeczeństwa, stwierdził, że trzeba wreszcie położyć kres trwającemu od 2007 r. podziałowi, który osłabia sprawę palestyńską. Dojrzały do tego zresztą obie strony. Hamas, osłabiony zarówno blokadą prowadzoną wspólnie przez Izrael oraz nowe egipskie władze, jak i ostrą antypalestyńską kampanią kierowaną przez Kair, krytykowany od wewnątrz przez bardziej radykalne organizacje takie jak Islamski Dżihad czy grupy odwołujące się do al-Kaidy, bez wahania przyjął propozycję.

BEZ ŚWIATEŁKA W TUNELU

23 kwietnia tego roku obie strony podpisały porozumienie mówiące o stworzeniu rządu "technokratów" z Mahmudem Abbasem na czele oraz zapowiadające przeprowadzenie w ciągu 6 miesięcy wyborów parlamentarnych i prezydenckich. Organizacja Wyzwolenia Palestyny (OWP) powinna również przeprowadzić wybory wewnętrzne oraz wchłonąć Hamas, który nigdy nie był jej członkiem. Porozumienie to jest zgodne z warunkami umowy podpisanej w 2011 r. w Kairze i potwierdzonymi w 2012 r. w Dausze, które dotychczas nie zostały wcielone w życie. Izrael wykorzystał to porozumienie (które zostało przyjęte bez krytyki przez Waszyngton i z entuzjazmem przez Unię Europejską), by zerwać rozmowy, które tak czy owak utknęły w martwym punkcie. "Abbas musi wybierać, czy chce zawrzeć pokój z Izraelem, czy pogodzić się z Hamasem[6]" oświadczył

Netanjahu, który wcześniej podważał "reprezentatywność" Mahmuda Abbasa z powodu tego, że nie kontroluje on Strefy Gazy... Palestyński przywódca odpowiedział, że przyszły rząd będzie złożony z technokratów i polityków niezależnych: "Izraelczycy pytają: czy ten rząd uzna Izrael? Odpowiadam: oczywiście, że tak. Czy odżegna się od terroryzmu? Oczywiście, że tak. Czy zastosuje się do prawa międzynarodowego? Oczywiście, że tak"[7].

Te same pytania można by zadać premierowi Netanjahu, jego koalicji rządzącej oraz uczestniczącym w niej partiom o faszystowskim charakterze, jak Żydowski Dom Naftalego Bennetta i jej 12 posłom (spośród 120)[8]. Czy uznają niepodległe państwo palestyńskie w granicach sprzed 1967 r. oraz rezolucje ONZ? Oczywiście, że nie.

Jednak przedłużająca się przerwa w negocjacjach działa na niekorzyść Waszyngtonu i Tel Awiwu. "Istnieje bardzo konkretne i bezpośrednie zagrożenie dla Izraela, jeśli spróbuje on nałożyć sankcje gospodarcze na Palestyńczyków – wyjaśnia amerykański wysoki urzędnik Nahumowi Barnei. Mogłyby one zadziałać jak bumerang. (...) Mogłyby doprowadzić do rozkładu Autonomii Palestyńskiej, a życiem 2,5 mln Palestyńczyków musieliby wówczas pokierować izraelscy żołnierze, ku rozpacz ich matek. Państwa-donatorzy przestałyby przysyłać pieniądze, a rachunek opiewający na 3 mld dolarów musiałby zostać zapłacony przez waszego ministra finansów"[9].

Z drugiej strony, dopóki trwa rzekomy "proces pokojowy", wezwania do nałożenia sankcji na Izrael i bojkotowania go są mniej przekonujące (czyt. artykuł Juliana Salingue'a). Nie przypadkiem niemieckie władze po zawieszeniu rozmów podjęły decyzję, że nie będą subwencjonować izraelskiego zakupu niemieckich okrętów podwodnych z napędem nuklearnym, co będzie kosztowało miliony dolarów izraelskich podatników [10]. Natomiast Unia Europejska po tak długim okresie odraczania i pobłażliwości wobec Izraela mogłaby rozważyć wprowadzenie sankcji.

Jedna rzecz na pewno się nie zmienia: niezależnie od wszelkich naruszeń prawa międzynarodowego przez Izrael Stany Zjednoczone zawsze będą stały za nim murem. Jak niedawno wyjaśniał Martin Indyk: "Stosunki izraelsko-amerykańskie zmieniły się w radykalny sposób (od czasów wojny październikowej z 1973 r.). Ci, którzy znają sprawę od środka – a ja mam ten przywilej – mogą zaświadczyć, jak głębokie i silne są więzy łączące oba nasze narody. Gdy prezydent Obama z uzasadnioną dumą mówi o "nierozzerwalnych" więzach, rzeczywiście wierzy w to, co mówi i wie doskonale, o czym mówi"[11]. Indyk dodaje, że w odróżnieniu od tego, co wydarzyło się po wojnie październikowej z 1973 r., kiedy sekretarz stanu Henry Kissinger negocjował porozumienie między Izraelem oraz Egiptem i Syrią, Prezydent Obama nie zawiesi stosunków wojskowych z Tel Awiwem, tak jak zrobił prezydent Richard Nixon.

Jutro – zawsze jutro – powstanie państwo palestyńskie – w taki sposób można streścić dyskurs amerykański[12]. Trzeba się pogodzić z faktem, że Waszyngton sam i bez żadnej presji nie zaprowadzi pokoju na Bliskim Wschodzie. Potrzebne są zdecydowane kroki, sankcje przeciwko Izraelowi wprowadzone przez władze państw i bojkot prowadzony przez społeczeństwo obywatelskie, by Palestyńczycy mogli w końcu świętować "przyszły rok w Jerozolimie".

Autor: Alain Gresh

Tłumaczenie: Ewa Cylwik

Źródło: [Le Monde Diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPISY

[1] Nahum Barnea, "Inside the talks' failure: US officials open un" [www. ynetnews.com](http://www.ynetnews.com), 2 maja 2014.

[2] Cyt. za Martin Indyk, "The Pursuit of Middle East Peace: A Status Report", Washington Institute for Near East Policy, Waszyngton, 8 maja 2014.

[3] Sylvain Cypel, «L'impossible définition de l'"Etat juif"»,

OrientXXI.info, 5 maja 2014.

[4] "John Kerry dément d'avoir qualifié Israël d'Etat d'apartheid", Lemonde.fr, 29 kwietnia 2014.

[5] patrz Charles Enderlin, "Les Américains rejettent la responsabilité de l'échec sur Israël", Blog Géopolis, 3 maja 2014.

[6] Herb Keinon, "Netanyahu: Abbas must choose, peace with Israel or reconciliation with Hamas", JPost.com, 23 kwietnia 2014.

[7] Wywiad udzielony palestyńskiej telewizji satelitarnej, 8 maja 2014, powtórzony przez BBC Monitoring, Londyn, 10 maja 2014.

[8] Patrz Yossi Gurvitz, "Israël aussi...", Manière de Voir, nr 1 34, "Nouveaux visages des extrêmes droites", kwiecień-maj 2014.

[9] Cyt. za Nahum Barnea, op. cit.

[10] Barak Ravid, "Germany nixes gunboat subsidy to Israel, citing breakdown of peace talks", Haaretz, Tel Awiw, 15 maja 1948.

[11] Martin Indyk, "The Pursuit of Middle East Peace: A Status Report", Washington Institute for Near East Policy, Waszyngton, 8 maja 2014.

[12] Patrz "Demain l'Etat palestinien, toujours demain", Le Monde diplomatique, październik 2011.